

Marta Krajewska

Idź i czekaj mrozów



Marta Krajewska

Idź i czekaj mrozów



Idź i czekaj mrozów

Copyright © Marta Krajewska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Copyright © for the illustrations by Małgorzata Lewandowska

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

druk ISBN 978-83-7995-045-4

epub ISBN 978-83-7995-046-1

mobi ISBN 978-83-7995-047-8

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Ilustracje w tekście: Małgorzata Lewandowska

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: [Studio Grafpa](#)

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

i www.eBook.MadBooks.pl

Spis treści

PROLOG.....	7
ROZDZIAŁ 1	
Prawo mężów i ojców	11
ROZDZIAŁ 2	
One są wśród nas.	33
ROZDZIAŁ 3	
Komu ta dziewczyna pisana	77
ROZDZIAŁ 4	
Czekałeś na mnie?.....	101
ROZDZIAŁ 5	
Nie ma się czego bać	121
ROZDZIAŁ 6	
Moja na zawsze	163
ROZDZIAŁ 7	
Wszystko, co złe, niech uderza we mnie	201
ROZDZIAŁ 8	
Ostatni z wielkiej rasy wilkarów	233
ROZDZIAŁ 9	
Święć się, kupalnicko!.....	267

ROZDZIAŁ 10

Sowy nie są tym, czym się wydają. 297

ROZDZIAŁ 11

Powinniśmy trzymać się razem. 331

ROZDZIAŁ 12

Choć trochę przyjemności. 361

ROZDZIAŁ 13

Cierp jak ja! 389

ROZDZIAŁ 14

Walczysz z przeznaczeniem 419

ROZDZIAŁ 15

Kto z bogami w grę wchodzi... 451

ROZDZIAŁ 16

Na zawsze 481

EPILOG 501

Prolog

– Wilcza Dolina – wyrzeźbił starzec. – Nie jedźcie dalej...

Zakrztusił się krwią, wyprężył nagle jak struna. Jęknął przeciągle, wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami, i martwymi oczyma zapatrzył się w czubki drzew.

Pięknie ubrana kobieta, która nachylała się, by usłyszeć jego słowa, trwała chwilę nad ciałem, jakby oczekiwała, że starzec jeszcze przemówi. Przesunęła dłoń po jego twarzy, zamykając na zawsze martwe oczy. Potem podniosła się z klęczek i wygładziła krwistoczerwoną suknię.

Górski las spowijała wieczorna mgła. Za plecami podróżniczeki dwa konie niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Były zmęczone, bo jeźdźcy błakali się wśród drzew od rana.

– Co powiedział? – spytał zbrojny mężczyzna, pochylając się w siodle. – Którędy na trakt?

Jego towarzyszka odwróciła się powoli, zamyślona. Poprawiła lutnię przytroczoną do kulbaki.

– Nie zdążyłam zapytać. Musimy tu przenocować, pochować go. Ale jesteśmy już blisko, ten człowiek to opiekun. Mówiłam ci o nim – zawiesiła głos i raz jeszcze spojrzała na starca. Po śmierci twarz mężczyzny jakby złagodniała. Jej wyraz kontrastował z widokiem zmasakrowanego ciała i faktem, że prawe ramię zostało oderwane od korpusu.

A cokolwiek je oderwało, najwyraźniej zabrało swą zdobycz ze sobą.



Rozdział 1

Prawo mężów i ojców

Córka zielarza biegła przez las, lawirując między sosnami. Miała zacięty wyraz twarzy i rozwiane w pędzie ciemne włosy. Uwagę skupiała na omijaniu korzeni i ukrytych pod liśćmi dziur w poszyciu. Do przodu, sądząc po wyrazie oczu, pchała ją wściekłość.

Jak strzała wypadła na polanę, rozgarniając w biegu gałęzie krzaków, porastających skraj lasu. Wybiła się mocno, przesadzając wielkim susem wygrzewając się w słońku ostrężyny. Zahaczyła stopą o jedną z tegorocznych witek, straciła równowagę i z krótkim piskiem runęła w trawę.

– Na demony Welesa! – krzyknęła, wstając energicznie.

– Muuu-uul!! – odpowiedziała jej krowa, zdziwiona niespodziewanym pojawieniem się właścicielki.

Zaaferowana otrząpnięciem sukienki panna zatrzymała się w pół ruchu, wyprostowała nagle i sprężystym krokiem pomaszerowała w stronę zwierzęcia, które wciąż gapiło się na nią bez śladu zrozumienia.

– Ty zaraz! – wrzasnęła dziewczyna, a zdziwiona krowa zamarła w bezruchu. – Własnymi rękami urwę ci ten rogaty łeb... – Wyhamowała nagle, ponieważ zauważyła kobietę i dziewczynkę, siedzące w trawie nieopodal – ...krowo jedna – dokończyła niemrawo. – Witajcie, pani Wiljo.

Kobieta skinęła nieznacznie głową, najwyraźniej starając się nie parsknąć śmiechem.

– Witaj, Vendo – przywitała się.

Odznaczała się tym typem urody, który sprawiał, że właściwie nie znać było po niej upływu czasu. Od kąd Venda pamiętała, Wiljo zawsze wyglądała tak samo ślicznie, a ciąża, poród i trudne życie w górach nie zniszczyły jej figury. Długie do pasa, kruczoczarne włosy opadały na ramiona prostymi, ciężkimi pasmami i atramentowo lśniły w słońcu. W czarnych oczach migały wesołe iskierki.

Venda poczuła się jak ogromny, niezgrabny klocek z potarganymi włosami i twarzą zaczerwienioną z wysiłku. Była też absolutnie pewna, że Wiljo nigdy, ale to przenigdy nie ganiała krowy po lesie i nie wylądowała w ostrężynach. A już na pewno nie przy świadkach.

– Tak myślałam, że w końcu przyjdiesz. – Kobieta uśmiechnęła się, ruchem głowy wskazując krowę. – Znowu uciekła?

Dziewczyna skinęła głową, przysiadła na trawie.

– Wypadałoby ciągle jej pilnować – burknęła marudnie. – No ale jak? Ja mam tyle do zrobienia, a opiekun ciągle albo załatwia jakieś straszliwie

ważne sprawy, albo ludzi leczy. Łatwiej by ją było dzieciakom oddać do pasienia, ale opiekun się uparł, że nie, i choćbym nie wiem co do niego gadała, to zdania nie zmieni. Tylko ciągle słyszę, że za górami wszystkie krowy się na postronkach pasą i jakoś nie uciekają. Zresztą, opiekun wie lepiej, szkoda strzępić języka!

Wiljo uśmiechnęła się czule do córeczki. Płomyk miała niecałe pięć lat i w porównaniu z matką wyglądała jak nieporozumienie. Ruda, piegowata, niezdarna, kropka w kropkę podobna do mało urodziwego ojca. Wiljo kochała dziecko ponad wszystko na świecie, lecz ostatnio głównie się o nie bała. Nawet teraz przez jej głowę przemykały miliony myśli i obaw. Postanowiła zwrócić uwagę w inną stronę.

– Dopiekł ci opiekun, co?

Venda zawsze robiła się gadatliwa, gdy coś ją bardzo wzburzyło. Tym razem jednak uśmiechnęła się tylko krzywo pod nosem.

– Oj tak – mruknęła. – Dopiekł mi. Bardzo mi dopiekł... Ale wiecie, nie pierwszy i pewnie nie ostatni to raz. – Uśmiechnęła się niemrawo.

– Prawo mężów i ojców.

Venda burknęła coś niewyraźnie, nie chcąc dalej narzekać na ojca. Nosiło ją z nerwów. Podparła się na łokciach i zapatrzyła przed siebie.

Łąka tonęła w promieniach wiosennego słońca. Z trzech stron otaczał ją las, tworząc zacisze wypełnione świergotem ptaków. Najpiękniejszym elementem krajobrazu było jezioro, odgrodzone od łąki jedy-

nie poszarpaną wstążką trzciny. Migotało zachęcająco słonecznymi iskierkami, ale tam, dokąd zapraszało, kryły się wiry i zdradzieckie głębiny, gotowe zamienić niewinną zabawę w walkę o życie. Ludzie mawiali, że w noc przesilenia tu właśnie wychodzą na brzeg rusałki, wodniki, utopce i inne magiczne stworzenia, by tańczyć przy świetle księżyca. I biada temu, kto im w takiej zabawie przeszkodzi.

Przez chwilę słyszeć było tylko ptasie popisy.

– No cóż. Szkoda gadać – stwierdziła w końcu młoda zielarka. – Zabieram to skaranie – wskazała krowę ruchem głowy – i wracam do siebie, zanim powyżera wam najpiękniejszą trawę. Chodź, ty... krowo – burknęła, szarpiąc sznur nieco mocniej, niż było to konieczne.

Płomyk zrobiła grzecznie kroczek do tyłu, kiedy zwierzę ruszyło powoli z miejsca. Venda uśmiechnęła się do dziewczynki przyjaźnie i puściła do niej oko.

I nagle poczuła dokuczliwe pulsowanie w skroni. Zaszumiało jej w uszach, zmrużyła oczy i skrzywiła się z bólu.

Czas zwolnił, jakby kamień utknął w trybach maszyny świata. Wiatr przestał szumieć w koronach drzew. Ptaki umilkły w połowie trelu. Rozgrzane powietrze przestało drgać. Zapanowała nie tyle cisza, co kompletny brak jakiegokolwiek dźwięku.

I w tej jednej dziwnej chwili zielarka widziała tylko twarz małej dziewczynki, która stała po kolana w trawie, z burzą rudych loków wokół twarzy, i nienaturalnie czarnymi oczyma wpatrywała się w Vendę.

– To sowa ją przestraszyła – powiedziała dziewczynka nieswoim, dorosłym głosem. – Jeśli wejdziesz, wilk nie będzie mógł cię uratować.

Vendzie piszczalo w uszach, skroń pulsowała boleśnie.

– C...co? – zająknęła się.

Wszystko znów ruszyło z miejsca.

Zaszumiały drzewa, zaśpiewały ptaki, krowa postąpiła kolejny krok naprzód, pasikoniki zagrały w trawie.

Dziewczyna zamrugła, zdziwiona. Przywidzenie? Wtedy spostrzegła, że oczy Płomyk, stojącej po kolana w trawie, z burzą rudych loków wokół twarzy, są na powrót błękitne jak letnie niebo.

– Och, ojej... mamusiu?! – Dziecko zachwiało się, przysiadło przestraszone.

Z nosa małej pociekła cieniutką strużką krew. Wiljo natychmiast przypadła do córeczki i zaczęła wycierać ją chusteczką, próbując ukryć zdenerwowanie i strach pod uspokajającymi słowami. Venda patrzyła na to zdezorientowana. I przerażona.

Przełknęła głośno ślinę i w końcu zadała typowe, tępe pytanie:

– Co...?

– Och, to nic takiego! – Kobieta machnęła beztrosko ręką. – Ostatnio jej się to zdarza. Ot, troszkę krwi. Widocznie Płomyczek ma jej za dużo jak na taką małą dziewczynkę. – Uśmiechnęła się czule, objęła pulchne ramionka dziecka. – Już lepiej, maleństwo? Oj, nie kręć głową, bo... no widzisz, leci.

Dziewczynka posłusznie odchyliła się do tyłu, nie odrywając oczu od twarzy matki.

Venda patrzyła na nie, ale ciągle nie mogła sobie poukładać w głowie tego, co właśnie się stało.

– Już wcześniej tak mówiła? – upewniła się. Korzystając z okazji, krowa delikatnie wyszarpnęła powróż z jej dłoni i oddaliła się dystygowanym krokiem.

Wiljo podniosła na zielarkę rozkojarzony wzrok.

– Co mówiła? „Mamusi”? Oczywiście, ciągle tak mówi. A czemu...?

– Nie, nie to! – przerwała jej Venda niecierpliwie. – O wilku i sowie, i... – urwała, bo napotkała mur niezrozumienia. – No... takie dziwne rzeczy...

Zamilkła. Nagle poczuła się jak wariatka. A przynajmniej popatrzyła na siebie oczami Wiljo i zobaczyła wariatkę. Zresztą sama już nie była pewna, czy przed chwilą cokolwiek się stało, czy tylko małej pociekła z nosa krew, a jej samej coś się przywidziało.

– No to... ja już pójdę wreszcie – stwierdziła słabo, wpatrując się w Płomyk. Mała przyciskała chusteczkę matki do nosa i oddychała otwartymi ustami. Poza tym nie wyglądała dziwniej niż zwykle.

Zielarka odwróciła się powoli i poszła po krowę. Kiedy podnosiła powróż z ziemi, uderzył ją w czoło ból, od którego czerwone plamki zawirowały jej przed oczami, a w uszach zaszumiało.

– Głowa mnie boli, mamu – usłyszała za plecami dziecięcy głos i znów na chwilę poczuła, że coś jest nie tak, jak powinno. Obejrzała się na dwie postacie siedzące w trawie i z dziwnym lękiem w sercu ruszyła do domu.



Obserwowali je zza drzew. Widzieli, jak zadumana dziewczyna odchodzi, ciągnąc za sobą krowę. Patrzyli, jak młoda matka ściera ostatnie ślady krwi z buzi malej. Jak dziewczynka odsuwa rękę kobiety, chce wstać, ale znów opada na trawę. Jak matka strofuje ją, próbując nadać głosowi odrobinę stanowczości.

Starucha uśmiechnęła się do siebie pod zakrzywionym nosem, a jej twarz pokryła się siecią drobnych zmarszczek. Przeżuła do końca to, co miała w bezzębnych ustach, po czym z wprawą splunęła w bok. Postawny mężczyzna, górujący nad starą niczym olbrzym, nawet nie zwrócił uwagi na brunatną kulkę, która prawie trafiła go w stopę.

Oboje stali skupieni, wpatrzeni w scenę na polance. Zastygli w oczekiwaniu. Mężczyzna o wilczych oczach, zrośniętych brwiach i zaciętej twarzy osma-ganej wiatrem, podobny bardziej do leśnej bestii niż do człowieka. I przygarbiona starucha, sięgająca mu ledwie do pasa, otoczona zapachem ziół i aurą bezgranicznej, niewyczerpanej złośliwości.

Stali i patrzyli.

Patrzyli i czekali.



Ścieżka wiła się między drzewami w głąb wiosennego lasu, między sosny i świerki o świeżych, zielonych pędach, między paprocie i jagodowe krzewy, aż do sta-

rej kapliczki, stojącej pod jeszcze starszym, wybujałym dębem o konarach skręconych czasem.

Ptaki ćwierkały wesoło, dąb szumiał cicho.

Atra chłonęła ten piękny dzień, tę cudowną chwilę, całą sobą. Całym swoim siedemnastoletnim, kształtnym i gibkim ciałem. Kocie spojrzenie prześlizgiwało się po okolicy, nie zatrzymując się na żadnym detalu. Złote loki błyszcząły rozrzucone na trawie, łapiąc promienie słońca w miedziane refleksy. Krągłe, młode piersi wznosiły się i opadały w rytm podnieconego oddechu. Smukłe uda, wyzwolone z niewoli ciężkich spódnic, oplatały chciwie wąskie, na wpół realne biodra kochanka. Dłonie błędziły niecierpliwie po jego plecach, drapały delikatnie chłodną, spoconą skórę.

Gdy mocno, wręcz brutalnie zassał różowy sutek, jęknęła, zachłysnęła się leśnym powietrzem. Ściskając mocniej udami zimne biodra, wyprężyła się, kiedy nagle nadeszła spodziewana od dawna fala rozkoszy. Z wilgotnych, półotwartych ust wydobył się jęk, Atra przymknęła oczy i dała się ponieść. Przez feerię złota pod powiekami czuła, jak on ją dogania, jak wpija się boleśnie i rozkosznie w jej pierś. Zatopiła palce w kručzej czuprynie i przycisnęła go do siebie jeszcze mocniej. Całą sobą.

Mocniej. Chciwiej.

Złote błyski mijały powoli, przyspieszone oddechy uspokajały się, dzikość zmieniała się w spokojne kołysanie.

Atra uśmiechnęła się, na powrót słysząc, jak ćwierkają ptaki, a stary dąb szumi kojąco.

Poczuła, że znów jest sama. Jak zwykle, bez zbędnych czułości, jej towarzysz odszedł bez pożegnania. Jak przez mgłę usłyszała kroki. Nie oddalały się, lecz zbliżały szybko, zdecydowanie. Poprawiła na sobie ubranie.

– Atra, jak zwykle! – cierpki głos wytrącił ją z błogostanu. – No, wiedziałem, że tu będziesz. Chodź, twój ojciec chce z tobą porozmawiać. Zdaje się, że to coś poważnego.

Otworzyła oczy i przeciągnęła się niespiesznie. Wyciągnęła kilka szpilek z bujnej czupryny, ziewnęła słodko.

Jej sąsiad, młody Irke, syn bartnika, podparł się pod boki, mierząc ją z góry krytycznym spojrzeniem. W końcu westchnął, pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ja nie wiem, co cię tu tak zawsze ciągnie.

Wzruszyła ramionami z niewinnym uśmiechem.

– Lubię się tu zdrzemnąć, tak jakoś... – odparła.

Nikt nie wiedział, że spętani okowami grobowców wyklęci odwiedzali ją w snach.

Chłopak prychnął w odpowiedzi, rozejrzał się niepewnie.

– Zdrzemnąć, jasne. Pełen spokój...

Uraczyła go słodkim uśmiechem i łaskawie wstała, a od niedawnej zabawy zakręciło się jej w głowie. Irke zmierzył ją pełnym niedowierzania wzrokiem.

– Nie ma to jak drzemka u bram Cmentarza Wyklętych – powtórzył. – Świetne miejsce, Atra.

Dziewczyna posłała powłóczyście spojrzenie krzywemu, zapadniętemu nagrobkowi, który stał nieopodal w trawie. Poprawiła sukienkę, opadającą z ramienia.

– Najlepiej... – mruknęła tajemniczo i przeciągnęła się niczym kotka.



Sercem doliny było jezioro, które tworzyły dwa spotykające się tu strumienie. W lustrzanej tafli przeglądały się drewniane chatki o krytych strzechą dachach. Przycupnęły na brzegu, niskie, w większości pozbawione okien. Zdobiły je jedynie ziołowe ogródki, z wolna zieleniejące po zimie. Biały dym unosił się z otworów w dachach. W małych gospodarstwach gdakały kury, muczały cenne jak złoto krowy i woły. Kilka świń szukało odpadków pomiędzy zabudowaniami, otoczonymi plecionymi płótkami. Wioska trwała tak od setek lat, wtulona w górską dolinę, zapomniana przez świat.

Choć nie zawsze było tu tak spokojnie.

Na wzniesieniu rysowały się ruiny starego zamczyska. Ich ciemne, milczące kontury odcinały się na tle nieba. I jeśli ktoś spoglądał na nie wracając z pola czy też spiesząc do gospody na kufelek czegoś krzepiącego, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zamczysko śledzi każdy jego ruch.

I, jak za dawnych czasów, czyha na ofiarę.

Dni mijały leniwie, a życie górali toczyło się powolnym, ustalonym od lat rytmem. Ale w nocy... w nocy sytuacja się zmieniała. To, co w świetle dnia umykało przed ludźmi, nie pozwalając nawet się dostrzec, po zachodzie słońca nabierało siły i ruszało na polowanie. Noc nie należała do ludzi i mieszkańcy Wilczej Doliny

wiedzieli o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ruiny zamku na skalnej półce budziły wspomnienia niedawnych jeszcze czasów. A jeśli jakiś młodzik ich nie pamiętał, jeśli nie wierzył w opowieści... Cóż, szukano go potem długo i wytrwale. Za dnia. I czasem, co gorsza, znajdowano. A wtedy znów nocami zamykano szczelniej drzwi.

W Wilczej Dolinie, u stóp starego zamczyska, wspominano wtedy niedawnych panów i wzdychano z ulgą, że to już przeszłość.

Kiedy słońce mocno pochyliło się ku zachodowi, a większość prac polowych przełożono na kolejny dzień, w gospodzie zebrało się kilkunastu mężczyzn. Gdy wychodzili z chat, ich kobiety krzątały się w obejściach, usypiały dzieciaki lub łątały portki – i odprowadzały ich spojrzeniami pełnymi napięcia i oczekiwania. Gdyby chciały, też mogłyby pójść do karczmy, decydować o losie osady i przekrzykiwać się w dyskusjach. Zazwyczaj zresztą tak robiły i często to one krzyczały najgłośniej. Ale dziś mało która chciała się wybrać z mężem. Nie tego wieczora.

Zebrali się przy długiej ławie w rogu, na niewielkim podwyższeniu dla grajków, które już od dawna nie słyszało dobrej muzyki. Gospodarz Jart polał przybyłym piwa i miodu. Potem stanął obok, oparł się ramieniem o słup i założył ręce na piersi. Jego syn Imir wycierał kufle, starając się łowić każde słowo dyskusji. Nie był żonaty, więc nie wolno mu było brać w niej udziału, ale jako że pracował w karczmie, nie mogli go też ot tak odpędzić, jak innych młodzików.

– Minęły trzy dni i nic, żadnych zmian – oznajmił grobowym głosem wąsaty mężczyzna o ziemistej twarzy, smutnej i porytej głębokimi bruzdami.

Pozostali odetchnęli z ulgą, aż delikatny szum dotarł do uszu Imira, stojącego przy kontuarze.

– Więc może to jednak niedźwiedź? – rzucił ktoś niepewnie. Zignorowano go.

– Odstąpcie już od mojego syna. – Smutny chłop przesunął wzrokiem po zebranych, między którymi siedział. – Nie był to może mądry chłopak, ale nic złego nam nie robi. Jemu już teraz do ziemi trzeba.

Kilka osób smętnie pokiwało głowami. Część przyznała strapionemu ojcu rację, ale kilku wciąż nie pozbyło się obaw. Ci albo patrzyli w stół, albo wiercili się na krzesłach.

– Myślę, że możemy przestać pilnować zwłok – rzekł w końcu Kostjan, rudy mąż Wiljo, właściciel najlepiej utrzymanego gospodarstwa w wiosce. – Trzy dni chyba wystarczą. Niedługo zacznie... – chciał dodać „śmierdzieć”, ale urwał pod dumnym i pełnym bóleści spojrzeniem ojca zabitego chłopaka. – Niedługo rusalia – rzekł zamiast tego. – Trzeba tę sprawę zakończyć przed zabawą.

Znów poczuł, że nie zabrzmiało to zbyt taktownie.

– W porządku, trzy dni! – zakrzyknął naraz kowal, wielki, brodaty chłop, siedzący w końcu stołu. – Ale pełnia dopiero dzisiaj będzie!

– Najlepiej od razu osikowym kołkiem serce przebić, a nie czekać! – zapalił się chudy jegomość, po czym zakasłał w chustkę, omal nie wypływając płuc.

Ojciec martwego zmrużył oczy, poczerwieniał na twarzy.

– Żadnych kołków, Stojan! – Rąbnął pięścią w ławę. – Dopóki nie będzie pewne, że Winne z martwych wstaje, nikt mi chłopaka nie będzie dźgał, jak potwora jakiegoś z Cmentarza Wyklętych! – wspomniawszy tę nazwę, splunął na podłogę ze wstrętem.

– To lepiej czekać, aż w jakiego wąpierz nam się zamieni i pana ojczulka jako pierwszego rozszarpie, tak?! – wrzasnął Stojan. Z nerwów znów zakaszłał w chusteczkę.

– Ciebie mu podeślemy, ty trupie chodzący! Tobie już i tak wiele życia nie zostało, ale najpierwszy jesteś do osinowania i ćwiartowania innych, ty... – Wąsacz poderwał się z ławy, ale siedzący obok Kostjan chwycił go za ramię żelaznym uściskiem.

– Siadaj, Tinne. Nie będzie żadnego dźgania kołkami. Ale kowal ma rację, jeszcze tę pełnię powinniśmy przeczekać.

Bykowaty chłop, siedzący na końcu stołu, skinął nieznacznie głową.

– Na co tu czekać? – obruszył się żałobnik, wyrywając ramię i siadając na powrót. – Trzy dni i trzy noce chłopaka w izbie trzymamy, straż przy nim pełnimy, ziołami okadzamy. Nie wstaje. Koniec. Martwy jest jak ta kłoda – próbował złością pokryć rozpacz.

– Tinne, zrozumże nas – do rozmowy włączył się młody chłopak, ledwie po ożenku. Usilnie starał się zapuścić wąs, ale póki co wyglądało to raczej komicz-

nie. I tylko głos miał ciepły, kojący. – Mała z nas wiośka, na siebie tylko liczyć możemy. Rozumiem twój żal po jedynym synu, ale sam wiesz, że to, co musimy zrobić teraz, zawsze robimy. Nie wiemy, co go zabiło, ale zabiło go strasznie. A my mamy rodziny, moja Larse ma dopiero pół roku, o niej myśleć muszę. Jedna noc jeszcze i pochowamy go, spokojni, że wszyscy jesteśmy bezpieczni. Zrozum.

Łagodna mowa uspokoiła nieco rozżalonego ojca.

Na chwilę zapadło milczenie. Czekali na zgodę Tiniego. Mężczyzna z nieodgadnionym wyrazem twarzy wpatrywał się w swój nieruszony kufel z miodem. Nawet Stojan próbował powstrzymać uporczywy, krwawy kaszel.

– Trzymamy Winnego ni to w świecie żywych, ni to umarłych trzeci dzień, trzecią noc – mruknął w końcu ojciec zabitego chłopaka. Podniósł wzrok, popatrzył w czekoladowe oczy po przeciwnej stronie stołu. – A to mógł być zwykły niedźwiedź. Spróbuj zrozumieć, Larse. Ja chcę pochować syna.

Zgromadzeni wypuścili powietrze z płuc. Imir, stojąc za barem, zdał sobie sprawę, że też wstrzymywał oddech, pewien rychłej zgody ojca Tiniego.

– Tinne, gniewasz się na nas bez powodu. – Młody Larse pochylił się do przodu, splótł palce, opierając całe przedramiona na stole, jakby chciał znaleźć się bliżej rozmówcy. – Też wolelibyśmy pochować chłopaka jak trzeba, nie robimy ci przecież na złość, boś dobry sąsiad i szanowany gospodarz. Ale niedźwiedzia można rozpoznać po kłach, po pazurach, po

zostawionej sierści. Opiekun zna się na takich sprawach. A nie był pewien. Wiesz dobrze, że sam kazał chłopaka pilnować. Jeśli zaś już opiekun nie wie, co to za zwierzę...

– No właśnie, a gdzie opiekun? – mruknął głębokim basem kowal, wpadając młodemu w zdanie. Wszyscy strapili się nagle, odruchowo oglądając po sąsiadach.

– Nie było go dzisiaj – ze swego miejsca przy słupie po raz pierwszy wtrącił się Jart. – Od wczoraj go nie było.

– Musimy poczekać, co powie. – Stojan z przejęcia wybałuszył swoje wodniste oczy. – Nie możemy tak przecież bez niego...!

– To dziwne, że nie przyszedł. – Kostjan zmarszczył rude brwi.

– Nie przyszedł, to już nie przyjdzie – zawyrokował kowal. Powszechnie było wiadomo, że jako jeden z nielicznych nie uznawał nieomyślności opiekuna we wszelkich sprawach. – Musimy sami zdecydować.

I wszyscy znów spojrzeli na Tinnego.

A Tinne wpatrywał się w kufel pełen miodu, bawił się nim, kręcił po dębowym blacie.

– Tinne? – łagodnie ponaglił go Larse.

Ojciec martwego chłopaka westchnął w końcu, a szeroka klatka piersiowa i zaczątek piwnego brzuszka podniosły się i opadły ciężko.

– Jedna noc – wyartykułował dobitnie, podnosząc oczy na Larsego, choć nie był on przywódcą grupy bardziej niż ktokolwiek inny. – Jedna noc. Dzisiejsza pełnia i koniec. A potem, klnę się na Welesa, że ten,

kto mi stanie na drodze do cmentarza, wróci do baby bez zębów.



Venda stała przy oknie od dłuższej chwili, nie mogąc się zdecydować na zamknięcie okiennic. Wciąż wypatrywała opiekuna.

Zamyśliła się i zaczęła nerwowo kręcić w palcach kosmyk włosów. Im później się robiło, tym bardziej niewiarygodne historie przychodziły jej do głowy, a strach zaczynał chwytać za serce. Znów wspomniała widzianą wczoraj spadającą gwiazdę, znak, że czyjeś życie dobiega końca.

– Miau...? – swoje nadejście zasygnalizował oburzony kot, który przespał pół dnia, a po przebudzeniu, niezadowolony, zastał miseczkę pustą.

Dziewczyna wzięła zwierzaka na ręce. Nie zdążył jeszcze schudnąć po zimie, był miękki i ciepłutki.

– No i co? – westchnęła, drapiąc go za poszarpanym w bojach uchem. – Nie wraca ten nasz opiekun i nie wraca...

Żałowała, że wczoraj pokłócili się o błahostkę.



Kiedy poprzedniego popołudnia weszła do chaty, siedział jak zawsze przy stoliku pod oknem, pochylając się nad grubą księgą i pisząc coś powoli i starannie.

Wiele różniło chatę zielarza od tych w dolinie. Przede wszystkim nie było w niej miejsca na krowę, za to miała niewielką sień, a jedyne okno wydawało się ogromne jak na warunki panujące w wiosce. I choć na noc zamykano je drewnianymi okiennicami, a na zimę wtykano ramę z wolim pęcherzem, chłopci pukali się w czoło nad takim marnotrawieniem ciepła. Jeszcze bardziej dziwili się, gdy pod okienkiem stanął stolik. Opiekun ustawił go, by mieć więcej światła i nie wyęczać wzroku przy księgach, nad którymi spędzał czasem kilka godzin dziennie.

Teraz również tu siedział, a słysząc odgłos otwieranych drzwi, nie odwrócił się, nie przerwał pisania i nie uśmiechnął do przybranej córki.

Venda bezbłędnie rozpoznała jego nastrój. Ostatnio często taki właśnie bywał. Zasepiał się, mruczał coś pod nosem do siebie, warczał na nią, ponury i nieprzyjemny. Dolegało mu coraz więcej drobnych chorób, coraz częściej smarował się dziwnymi maściami, których nawet ona nie rozpoznawała, przyrządzał i pił mętne dekokty o odurzającym zapachu. Starzeje się, myślała dziewczyna i starała się nie zwracać uwagi na docinki, zmienne nastroje i nerwowość opiekuna. Nie odzywaj się – powtarzała sobie raz po raz – dla świętego spokoju.

Ze stukiem postawiła na podłodze wiadro z wieczornym udojem. Nie było tego może specjalnie dużo, ale dla dwóch osób i kota wystarczało z okładem.

Opiekun podniósł głowę i wpatrzył się w widok za oknem, zatopiony w rozmyślaniach. Dziewczyna

przecodziła mleko, a on wciąż tkwił w tej pozycji, z piórem uniesionym nad papierem i lekko zmrużonymi oczyma. Zerknęła nań z ukosa, potem rzuciła okiem na grubą księgę, oprawioną w czerwono farbowaną skórę. Każdą stronę zapełniało pismo opiekuna. Znała ją – to była właśnie ta, której nigdy nie wolno jej było czytać. Zapisana w całości przez wychowawcę notatkami zawierającymi jakieś tajemne informacje i pod nieobecność dziewczyny chowana w skrytce w obejściu. Jedyna, która wzbudzała w niej tyle ciekawości i jedyna, której opiekun nigdy nie pozwolił jej obejrzeć.

W chwili, gdy chciała właśnie zerknąć na zapisywaną stronę, mężczyzna ocknął się z zamyślenia, drgnął, z głuchym trzaskiem zamknął tomiszcze, po czym zerwał się ze stołka. Nagle syknął, skulił się i usiadł z powrotem, a na jego twarzy pojawił się skurcz bólu.

Venda spokojnie nalała sobie kubek mleka i usiadła przy stole na środku izby.

– Może by z tym trzeba iść do kogoś – mruknęła.

– Do kogo niby? – Mężczyzna obdarzył ją złym spojrzeniem.

Upiła spory łyk, nim odpowiedziała:

– Do więdzmy spod skały, bo do kogóż by?

Opiekun w odpowiedzi prychnął jak żbik.

– No, pewnie, jeszcze czego...

Dokładnie takiej reakcji oczekiwała, więc nie wzburzyła się zbyt.

– Przecież widzę, że twoje maści i eliksiry nic nie pomagają – ciągnęła spokojnie. – To już za długo trwa,

ciągle boli cię coś innego. A to brzuch, a to głowa, a to ramię. Że też ci się chce to znosić. Po co się tak męczysz?

Tymczasem mężczyzna wstał ze stołka, przesiadł się do stołu, również nalał sobie mleka i sięgnął po przykryty ściereczką chleb, stojący na środku blatu.

– Nie boli bardzo – mruknął, najwyraźniej nie chcąc drażnić tematu.

Ale Venda chciała. Tym razem już chciała i nie pozwoliła się zbyć.

– Jasne, nie boli. Chyba nie widziałeś, jak wyglądasz? Oczy zapadnięte, szary na twarzy jak wysuszona ziemia, nawet garbić się zaczęłeś. – Pokręciła głową wzorem każdej marudnej baby, rugającej upartego chłopca. – Słuchaj, nie możesz pić tyle przeciwbólowych wywarów, bo to nie leczy przyczyn, tylko uśmierza objawy. Wiesz przecież, że...

– Wiem – warknął nagle, przerywając smarowanie pajdy chleba miodem. – Wiem lepiej niż ty, smarkulo. Sam cię tego nauczyłem. Nie pyskuj.

– A ty posłuchaj, jak ci ktoś chce dla twojego dobra doradzić.

– Uważaj na słowa, dziewczko! – Zmroził ją spojrzeniem, które u większości ludzi powodowało paraliż umysłowy, a u zbyt gadatliwych natychmiastowy szczękościsk. W połączeniu z tym spojrzeniem najzwyklejsze nawet słowo, takie jak „dziewka”, mogło zabrzmieć jak najgorsza obelga.

Venda zamilkła posłusznie, naburmuszona i zła na siebie, że go posłuchała.

– A teraz idź – zarządził zimno mężczyzna. – Muszę schować księgę.

Wstał, wyraźnie dając znak, że dla niego rozmowa jest skończona.

Venda w jednej chwili poczuła się zmęczona i zupełnie zrezygnowana. Ruszyła do drzwi.

– Traktujesz mnie jak smarkulę, a nie zielarkę – bąknęła jeszcze pod nosem. – Przecież jestem dorosła, tak dużo już potrafię...

– Naprawdę? – przerwał jej. – A ciekawe, coś takiego potrafisz? Zresztą – mruknął – i tak chowam cię do innych celów.

– Chowasz? – Krew znów uderzyła jej do głowy. – Do czego?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Dziewczyna przewróciła oczyma.

– Dostyc mam tych twoich tajemnic i niedopowiedzeń!

– Venda, wyjdź! – ryknął nagle opiekun, odwracając się do niej z wściekłością, upodabniającą jego twarz do potwornej maski.

Dziewczyna skuliła się w sobie, choć na zewnątrz sprawiała wrażenie równie twardej jak ojciec. Wiedziała już, że przegrała. Znowu.

Obróciła się na pięcie i wymaszerowała z chaty, trzaskając drzwiami z całej siły.

Słońce zachodziło właśnie, zalewając podwórze pomarańczowym blaskiem. Dziewczyna opuściła obejście i zatrzymała się trochę dalej, na ścieżce prowadzącej w stronę wsi. Nie wolno jej było się odwrócić,

dopóki przybrany ojciec nie zezwoli na to. Wpatrywała się więc w horyzont niewidzącymi oczyma, do których cisnęły się łzy żalu i złości. Kot zjawił się znikąd, zamruczał i zaczął się łąsić do jej spódnicy.

Po chwili opiekun minął ją, jakby była powietrzem. Zarzucając kapotę na plecy, bez słowa ruszył w stronę wsi. Jego wychowanki nie obchodziło dziś, gdzie i po co wychodzi. W tamtej chwili życzyła mu jak najgorzej.

Zgarnęła kota z ziemi, wtuliła twarz w miękkie, ciepłe futerko i, pociągając nosem, poszła z powrotem ku chacie. W momencie, gdy położyła dłoń na skoblu, brunatne skrzydła załopotały tuż nad jej głową. Skuliła się, złękciona. Ale to była tylko sowa, która jak cień oderwała się od dachu i poszybowała w ślad za odchodzącym mężczyzną.

Venda odetchnęła z ulgą i zatrzasnęła za sobą drzwi.



Nie widzieli się z ojcem całą noc i cały kolejny dzień. Opiekun nie wrócił do chaty i dziewczyna zaczynała się poważnie martwić.

Kot zamruczał, łaskawie aprobując pieszczoty. Najwyraźniej nie podzielał zdenerwowania swojej pani.

– Coś musiało się stać – powiedziała cicho. – To niemożliwe, żeby nie przyszedł. Nawet on aż tak się nie upija...

Przy ostatnich słowach postawiła zwierzę na podłodze.

– Mrr?

Ucieszony kot potruchtał do miski z wysoko uniesionym ogonem, w przekonaniu, że pani potrzebowała wolnych rąk, by zrobić mu coś do jedzenia. Zawiódł się jednak okrutnie.

Venda zarzuciła na plecy czerwony płaszcz z grubej wełny i westchnęła głęboko.

– Musisz poczekać – mruknęła do patrzącego na nią z wyrzutem kota. – Jak wrócę, dostaniesz kolację. Teraz muszę iść, zanim się zrobi zupełnie ciemno.

Wyszła z chaty i żwawo ruszyła ku wiosce.

Bezszelestny cień oderwał się od linii lasu i podążył za nią, niezauważony.

Rozdział 2

One są wśród nas

Słońce w ognistej aureoli kryło się już za szczytami. Wiosenny dzień zmieniał się w pachnącą wilgocią noc. Po zachodzie ciemność zapadała szybko, a Venda bała się wracać po zmroku. Na szczęście droga nie była długa, choć razem z ojcem mieszkali w oddaleniu od ciasno zabudowanej wioski.

Ich chata stała na niewielkim wzniesieniu, zwrócona w stronę osady, a plecami oparta o las. Venda wiedziała, co mieszka w mroku. Od dziecka opatrywała opiekuna, wracającego bogowie wiedzą skąd, pociętego szponami, poszarpanego kłami, zmęczonego nad siły i milczącego jak głaz. Początkowo napawało ją to strachem. Wieczorami za drzewami zwidywali jej się leszy i mamuny. Ale potem dorosła i przywykła. Nie przestała bać się potworów, ale jak każde dziecko łądziła chętnie opowieści starych ludzi o strzygoniach, południcach, widach i wampirach, a choć potem trzęsła się ze strachu, takie historie przyciągały jak kromka chleba z miodem. Opiekun w każdej wolnej chwili

uczył ją o ziołach, maściach i eliksirach. Z czasem zaczął również pokazywać, jak ma rozpoznawać i pokonywać groźne stworzenia, ale ta wiedza jeszcze nigdy jej się nie przydała.

Pobiegła ścieżką w dół, ku wiosce, łapiąc ostatnie promienie słońca.

Doskonale wiedziała, gdzie zacząć szukać przybranego ojca. Zdarzało się to już wcześniej.

Wieś okalał pierścień pochodni, zapalanych co wieczór dla bezpieczeństwa mieszkańców. Kiedyś była tu palisada, ale dawni władcy zamku kazali ją rozebrać. Chłopi buntowali się, ale tych krzyczących najgłośniej uciszyły szybko wilcze kły i pazury. Pozostali z czasem nauczyli się ogniem bronić przed tym, co czyha w ciemności.

Venda minęła krąg pochodni i szybko dotarła do uliczki, wzdłuż której niczym zęby szczyrzyły się plecione płotki przydomowych ogródków. Zwolniła kroku, wyrównując oddech. Stary budynek gospody był sercem wsi. I choć czasy, gdy sypiali tu przyjezdni, minęły dawno temu, wieczorami gwar wciąż wypełniał karczmę, a miód i piwo lały się strumieniami.

Dziewczyna weszła jak do siebie. Opiekun i karczmarz byli wielkimi przyjaciółmi i trzymali się razem. Ich dzieci też trzymały się razem.

– Venda? – Imir podstawiał klientowi kufel pod nos i, wycierając ręce w fartuch, pospieszył w stronę dziewczyny. – A co ty tu robisz tak późno?

– Szukam opiekuna. – Zmarszczyła brwi, zadzierając głowę, by spojrzeć chłopakowi w twarz. – Był tu wczorajszego wieczora? Spał u was?

Imir był bardzo wysokim chłopakiem o ciepłych, zielonych oczach, w których chętnie utopiłaby się niejedna mieszkanka doliny.

– Nie, nie było go – poinformował, wzruszając ramionami. – Dzisiaj też jeszcze się nie pojawił. Przed chwilą chłopcy skończyły radzić nad Winnem...

– Tak? I co będzie?

– Na razie nic. – Imir zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Ale po dzisiejszej pełni wreszcie go pochowają. Stojan i kowal się upierali. Ludzie chcieli zapytać opiekuna o radę, ale nie przyszedł.

Pokręciła głową.

– Opuścił naradę? W takiej chwili? To zupełnie do niego niepodobne. Nie wrócił też na noc. Myślałam, że strasznie się wczoraj upił i spał tutaj, żeby nie wracać po ćmoku.

– Na pewno u nas nie spał – odparł Imir. – Zapytajmy ojca.

Jart odziedziczył karczmę po rodzicach i zamierzał przekazać ją kiedyś swemu synowi. Zajmowali się prowadzeniem gospody od pokoleń i byli jedyną rodziną, w której mężczyźni pozostawali gładcy, biali i mieli miękkie dłonie. Imir po ojcu odziedziczył tyczkowaty wzrost, ale ludzie mówili, że delikatne rysy twarzy miał po matce. Venda nie mogła tego ocenić, bo prawie nie pamiętała karczmarzowej. Zniknęła tak dawno temu...

– Nie było go – stwierdził Jart, kiedy dziewczyna przedstawiła mu swój kłopot. – Może jest w lesie? Szuka tego, co rozłupało łeb Winnego?

– Nie wiem, nigdy mi nie mówił, co robi – posmutniała zielarka. – Nie widywaliśmy się ostatnio za wiele.

– Czyli czekamy czy mam zwoływać ludzi? – spytał rzeczowo karczmarz.

– Nikt nie będzie szukał po nocy – odparła dziewczyna. – Dajmy mu czas do rana, potem powiemy innym i ruszymy w las.

Zamilkli wszyscy troje, ale spojrzenia, które wymieniali, mówiły więcej niż słowa. Jeśli ktoś w dolinie zniknął, należało zacząć go szukać, zanim to, czym się stanie, znajdzie drogę do domu i wypruje śpiącej rodzinie flaki.

– Imir! Jart! – zawołano od strony stołów. – Piwa!

Karczmarz skinął odruchowo głową.

– Ja pójdę, zajmij się Vendą, synu. Powodzenia – mruknął jeszcze do młodych i na odchodnym spojrzał poważnie na dziewczynę. – Oby się znalazł do rana. Żywy czy martwy.

Po czym oddalił się z dzbanem piwa, a Venda i Imir odprowadzili go ponurym spojrzeniem.

– No nic, wracam do domu – stwierdziła dziewczyna. – Tu nic nie wysiedzę. Opiekun może wrócić, pójść z kolei szukać mnie i zrobi się jeszcze większy kłopot.

Imir spojrzał na nią niepewnie, ale z rycerskim błyskiem w oku.

– To pójdę z tobą – oświadczył. – Nie chcę cię straszyć, ale nie wiemy, co tam gania po nocy, skoro opiekun...

Nie dokończył, ale to, co powiedział, wystarczyło. Skinęła tylko głową i po chwili wyszli razem w mrok. Okrążyły księżyc wschodził nad lasem.

Venda zadrżała z chłodu, kiedy tylko opuścili ciepłą gospodę.

– Witaj, Księżycu, niebieski dziedzicu... – szepnęła odruchowo zakłęcie, otulając się szczelniej wełnianym płaszczem.

Imir również skłonił się ku jasnemu okręgowi i słyszała, jak wygłasza pod nosem tradycyjne powitanie. Przeszli kilka kroków, kiedy drzwi gospody otworzyły się.

– Imir, a ty gdzie? – zawołał Jart z naganą w głosie.
– Nie zapomniałeś czegoś?

– Dziękuję, ojcze! – odkrzyknął chłopak, łapiąc rzuconą przez karczmarza siekierę. Nagle stanął jak wryty. – O bogowie! – wyrzucił bez tchu.

Jart, mamrocząc, znikł właśnie za drzwiami razem z jasnym snopem światła z wnętrza gospody. Venda przystanęła i zaskoczona spojrzała najpierw w twarz przyjaciela, a potem podążyła za jego wzrokiem na dach karczmy. Mimo blasku księżyca niewiele mogła dostrzec.

– Widziałas? – wyszeptał chłopak, wskazując w górę. – Coś się tam chyba ruszało!

Dziewczyna poczuła, jak kamienieje jej serce.

– Nic nie widzę – przyznała cicho, ale odruchowo poszukała dłonią zatkniętego za pasek noża.

Stali w milczeniu przez kilka chwil, wpatrując się w kalenicę, a sekundy wydawały im się długie niczym godziny.

Po chwili Venda otrząsnęła się i pociągnęła Imira za rękaw.

– Musiało ci się zdawać. Chodźmy stąd, trzeba ruszać.

Imir ociągał się. Przeszedł kilka kroków tyłem, wciąż patrząc na odcinający się od granatowego nieba dach karczmy.

– Może i tak... – przyznał w końcu niepewnym tonem i ruszył za Vendą. – Pewnie mi się zwidziało. To przez to zniknięcie opiekuna. Jeśli biega tam coś, co mogło pokonać jego, to my...

Venda prychnęła.

– No wiesz, mógłbyś mnie uspokajać, a nie straszyć.

– Mówię tylko to, co i tak myślisz.

Prawie biegiem przemierzili wioskę i większą część drogi do chaty zielarzy. Cały czas nerwowo przebiegali wzrokiem po kryjących się w mroku drzewach i krzakach.

Opuścili główną drogę i ruszyli ścieżką pod górę, w stronę lasu.

– Nie będziesz się bała sama w chacie? Może lepiej zostanę z tobą? – zaproponował Imir. Miał nadzieję, że zabrzmiało to przyjacielsko, a nie natrętnie.

– Jasne – mruknęła Venda. – A rano będziemy musieli się pobrać, bo ludzie nam żyć nie dadzą.

– Rozumiem, że dla ciebie to taka straszna perspektywa?

– Imir, co tam się świeci? – Venda stanęła naraz jak wryta. – Tam, na skraju lasu, widzisz światelko?

– Zwariowałaś?! – Popchnął ją zdecydowanie, a kiedy się opierała, chwycił za rękę i zaczął biec w stronę majaczącego już w ciemnościach podwórka.

– A jeśli to opiekun? – Szarpnęła się.

– Łazi ze światłem, żeby go potwory lepiej widziały? Ruszaj głową i nogami. To ognik albo jakie inne lichy. Uciekajmy!

Odwrócili wzrok od światełka, nie dając się zmamić i wciągnąć na leśne ścieżki.

Po chwili, zdyszani, dopadli plecionego płotku i drzwi chaty.

Chaty, która, niestety, powitała ich głuchą pustką.



Co się dokładnie przydarzyło Winnemu, tego nie wiedział nikt. Jedno, co było pewne, to że nie wierzył w istnienie Roda ani w wampierze, zmory i wilkołaki. Przekonywał kolegów, że potworów na świecie już nie ma, są tylko wygodnym sposobem starszyny na straszenie młodych i trzymanie ich w ryzach. Dlatego bez wahania założył się z chłopakami, że w nocy dojdzie do Cmentarza Wyklętych, zabierze zostawiony tam za dnia nożyk i wróci, nim zapieją koguty.

Dziś nożyk leżał obok martwego ciała, choć z cmentarza przyniósł go ktoś inny. Poszarpane zwłoki Winnego znaleziono mniej więcej w połowie drogi, z wyrazem zdziwienia w oku. Tylko jednym oku, ponieważ drugie wypłynęło wraz z częścią mózgu, kiedy coś zmiażdżyło chłopakowi głowę potężnym ciosem.

– I po raz bogowie wiedzą który mówię ci, że niedźwiedź by na głowie nie poprzestał – dobitnie warknął Stojan.

Chata Tinnego tonęła w zapachu ziół, którymi okadzano leżące na ławie zwłoki. Dym rozpraszał światło łuczryw, ustawionych wokół pokiereszowanej głowy, przykrytej białym płótnem. Dwie maleńkie siostry zabitego spały za wiklinowym przepierzeniem. Rodzice popijali piwo wraz z kowalem Zdamirem, jego bratem Stojanem i rudym Kostjanem. Dalej od ciała, tuż przy palenisku, grzał stare kości dziadek, to milcząc, to mamrocząc coś pod nosem ze wzrokiem wbitym w biały całun.

Mijała czwarta noc od śmierci Winnego. Żałobnicy byli już tak zmęczeni, że otępienie łagodziło rozpacz, a jedynie, czego pragnęli, to doczekać do rana i móc wreszcie pochować tragicznie zmarłego. Z nadzieją czekali świtu.

Tinne wyjął drewnianą zaślepkę i wyjrzał przez wąskie okienko na zewnątrz.

– Księżyc już wysoko i świeci jasno – oświadczył. – Jakby synek miał wstać, już by wstał.

Matka chłopaka odetchnęła z ulgą i otarła łzę z policzka.

– To i dobrze. – Brodaty kowal skinął głową. – Ale dla spokoju posiedzimy do rana.

Tinne skrzywił się niechętnie.

– A przecie ja was z chaty nie wyganim. Polej jeszcze piwa, kobieto. Wypijemy za duszę Winnego w Nawii.

Poląła, a oni wypili. Otarli wąsy i brody rękawami steranych koszul.

– Wycie wczoraj słyszeliście? – spytał Kostjan, a kiedy pokiwali głowami, rzekł: – To ten o wilczych oczach mógł Winnego dopaść. Tak sobie myślę, że każdy inny z leśnych stworów by chłopaka zeżarł, a ten

o wilczych oczach, wiadomo, zły aż do kości, ale ludzi nie je. Póki co. Mógł Winnego spotkać w lesie i za samo to zabić, że on człowiekiem był. Wiadomo, jaką to wilkoocy złość na ludzi mieli.

Chłopy pokrzywili się, popatrzyli jeden na drugiego, rozważając te słowa.

– To by się nawet zgadzało, że opiekun nie mógł śladów rozpoznać – stwierdził Stojan. – Wilkooki ledwo co w góry wrócił.

– A właśnie, gdzież on jest? – spytał Zdamir z nieskrywaną satysfakcją. – Ten wasz opiekun? Nie powinien teraz siedzieć tu, żeby nas bronić, gdyby chłopak jednak wstał?

– Powinien – przyznał Tinne. – Tyle że go już na naradzie nie było. Dziewczyna też go zresztą szukała chyba...

Nie musiał kończyć zdania, żeby wszyscy pomyśleli to samo.

– No, trudno. – Zdamir wzruszył ramionami, na zbyt się nie przejmując. – Zgubił się, to i się znajdzie. Polej piwa jeszcze, Tinne. Co? Czego się gapicie? Połazł pewnie za tym, co wam syna ubiło. No to teraz albo on, albo tamto. Coś do nas na pewno przylezie. Tego bądźcie pewni. Przylezie jak zawsze.



Obudził się jakiś nieswój.

Strach gdzieś zniknął, nie za bardzo też mógł sobie przypomnieć, co się stało.

Z ciemności wyrwał go potworny głód. Ciało trawiła gorączka.

Z trudem wydostał się na powierzchnię, rozkopując pulchną ziemię rękami i zdzierając paznokcie do krwi.

Czy leżał tak godzinę, czy kilka dni?

To nie miało znaczenia. Żeby tylko ugasić to dziwne pragnienie. Nieznośne uczucie, tęsknotę, która nie pozwala o sobie zapomnieć.

Las tonął w ciemnościach i w ciszy, jaką tworzą dziesiątki poruszających się bezgłośnie stworzeń.

Czuł, że coś lub ktoś obserwuje go z ukrycia. Czuł na sobie to badawcze, wyczekujące spojrzenie. Słyszał warczenie przyczajonego w pobliżu wilka. Gdyby tylko mógł się skupić...

Ach, ta pokusa była nie do pokonania! Jak się jej pozbyć? Jak?!

Ścieżka przed nim okryła się złoto-granatowym, nierealnym blaskiem. To księżyc wyszedł zza chmur i przebił się pomiędzy wierzchołkami drzew.

Pełnia.

Głód stawał się nieznośny. Czuł, że jeżeli zaraz go nie ugasi, oszaleje.

Powlókł się niezgrabnie w stronę, którą wskazał mu instynkt. Do miejsca, gdzie wreszcie ukoji to natrętne pragnienie, wykręcające trzewia i napełniające głowę nieskończonym bólem.

Do ludzi.



– Może to i wilkooki – dumiał nadal Kostjan. – Ale czy on by mógł łapą aż tak łeb rozłupać?

– Leszy... – odezwał się niespodziewanie dziadek, ożywiając się i szeroko otwierając z przejęcia oczy. – Leszy ma maczugę i ooo, tak! On jednym machnięciem gruchocze łby!

Zebrani poczuli się cokolwiek nieswojo, ale Tinne wyrócił tylko oczyma.

– A ojciec znowu swoje! Co by się nie zesrało, to zawsze leszy.

– Tak, śmiej się ze starego! – Starzec pogroził mu złowróźnie krzywym paluchem. – Ja pamiętam, że jak przynieśli ojczulka, to też się niektórzy śmiali. A głowę miał tak samo połupaną jak ten tu mądrała pod płótnem.

Tinne parsknął lekceważąco.

– Poczekaj – wtrącił się Kostjan. – Dziadek widział już coś takiego?

– Czy widziałem?! – rozdarł się podekscytowany chłop i nim syn zdążył mu przerwać, zaczął opowiadać: – Całe życie mam ten widok pod powiekami! Dzieckiem małym byłem, kiedy ojczulka mego ukochanego tak przynieśli, jak tego smarkacza teraz. Ojczulek drzewa w lesie rąbał na zimę i coś go potwornie ukatrupiło. Starzy od razu gadali, że widocznie zamachnął się na święte drzewo, co je sobie leszy ulubił, ale młodzi, tak jak i dzisiaj, nie chcieli wierzyć w potwory i leśne duchy. Trzeba widać pożyć w tych górach i na tragedie się napatrzyć, żeby dopiero rozumu nabrać.

– Do rzeczy, ojciec – ponaglił zniechęcony Tinne.
– Za kilka godzin świt, chciałbym, żebyś skończył do tego czasu.

– Tak, tak. – Dziadek ponuro pokiwał siwą głową. – Niektórzy nigdy oczu nie otworzą, nawet jak im dziecko bogowie zabiorą.

Tinne zamknął się, jakby mu kto w mordę dał, a starzec poprawił się na pieńku, który mu służył za stół. Nachylając się w stronę zebranych, opowiadał dalej:

– Pochowaliśmy ojczulka pod małym kurhanikiem, a kilka dni później chłopcy wróciły na wycinkę, gdzie ojciec dęby zostawił. Znów rąbać zaczęli i naraz słyszają... – zawiesił głos, aż wszyscy sami nasłuchiwać zaczęli – ...słyszają jakby szept w konarach drzew, to tu, to znów tam i coraz to z innej strony. Głośniejsze i głośniejsze szeptało, aż dwóch najmądrzejszych chłopów nogi za pas wzięło i w te pędy do wioski pobiegło. A kiedy wrócili wszyscy kupą w chwilę później, z tych, co nie uciekli, jeden już tylko dychał. Wykrwawiał się zresztą właśnie, bo mu coś nogi zmiażdżyło. Ale zanim ducha wyzionął, zdążył jeszcze powiedzieć, że ich niedźwiedź ogromny napadł, a na niedźwiedziu brodaty staruch jechał i maczugą walił, gdzie popadło.

– Leszy... – Kostjan z szacunkiem pokiwał głową.

Kowal i Stojan też byli pod wrażeniem i tylko Tinne spod byka patrzył na ojca.

– Leszy – przytaknął dziadek ze zgrozą. – Ale to jeszcze nie koniec. Pochowali zabitych na cmentarzyku i postanowili nie chodzić już na tamtą wycinkę. Ale leszy był rozgniewany i noc w noc rozkopywał kurha-

ny zabitych. Ojczulka oszczędził, być może dlatego, że z niewiedzy drzewa wycinał i dostateczną poniósł karę. Za to tamci powinni przecież wiedzieć. Powinni zrozumieć, że mój tatko na ostrzeżenie życie musiał stracić. I dlatego leszy nie dał im zaznać spokoju po śmierci. Co rano groby rozkopane zastawaliśmy, jakby coś martwych chciało ze środka wyciągnąć, ale nigdy czasu tyle nie miało. Aż Bratmił, co wtedy opiekunem był, zrozumiał wszystko i razem z chłopami poszedł w tamto miejsce i na wycinie, w świętym miejscu leśszego, nowe dęby mu posadził. Przeprosił, pokajał się i nagle – stary zawiesił znacząco głos – wszystko skończyło się jak nożem uciął.



Venda nie spała.

Nie była w stanie położyć się, wiedząc, że ojczymowi coś mogło się stać. Zatknęła dodatkowe łuczywo w drzwiach od zewnątrz, by w razie czego ojczym widział chatę z daleka. Sama usiadła przy palenisku i myślała. Kot spał smacznie na kolanach pani, głaszcząc go leniwymi ruchami.

W dolinie nikt nie znikał ot, tak sobie. Jeżeli żona szukała czasem męża, zawsze znalazł się ktoś, kto akurat przypadkiem wyrzał przez okno i widział go znikającego w krzakach z sąsiadką. Tutaj niczego nie dało się ukryć. Dlatego właśnie opiekun, kiedy przybył z dalekiego świata, wybudował swoją chatkę z dala od innych. Dla świętego spokoju. Nikt, nawet karczmarz,

nie wiedział, dlaczego porzucił świat za górami. Wyślawiał się uczenie, znał się na wielu rzeczach, na ziołach i na walce, i nigdy nie zburzył bariery między sobą a mieszkańcami wioski.

Nikt nie wiedział, przed czym uciekał. I nikt nie pytał, dlaczego przywiózł ze sobą małą dziewczynkę, która, jak twierdził, nie była jego córką.

Venda też nigdy się tego nie dowiedziała. A teraz nie mogła pogodzić się z myślą, że może już nigdy się nie dowie.

Zasepiła się nie na żarty. Łuczywo, którym oświećtała izbę, dopaliło się już do połowy. Jego płomyk chybotął się, poruszany wiatrem, przeciskającym się przez nieszczelną okiennicę. Dziewczyna wstała, uchyliła ją i wyrzuciła na zewnątrz, osłaniając dłońmi oczy od światła. Wiatr właśnie rozgonił chmury i obejście zalał księżycowy blask. Na tle lasu wyraźnie rysowały się jaśniejsze kreski plecionego płotu i wydeptanej ścieżki, prowadzącej od niewielkiej furtki do drzwi domu. Mała szopka na drewno przycupnęła w połowie tej drogi. Światło załamywało się na nierównej powierzchni grządek, pokrywających niemal całe podwórze. Po zimie sterczało tu jedynie kilka badyli wiecznie zielonych ziół i krzaczków.

Było pusto i spokojnie.

– Gdzieżeś polazł? – mruknęła cicho pod nosem.
– Kto jak kto, ale właśnie ty powinienes wiedzieć, że w czasie pełni nie wychodzi się z chaty...

Z zadumy wyrwał ją huk, dobiegający od strony sieni.

Dziewczyna aż podskoczyła. Cofnęła się od okna z oczami wielkimi jak spodki. Z sercem w gardle, ci-chutko podeszła do progu. Zajrzała w ciemność dokładnie w momencie, gdy coś ciężkiego znów rzuciło się na ścianę między obórką a chatą. Potem z okropnym, powolnym szuraniem zsunęło się na podłogę.

Venda z lękiem wpatrywała się w ścianę, jakby mogła przewiercić ją wzrokiem.

Większość ludzi w dolinie trzymała swoje zwierzęta w izbie, dla ciepła i wygody. Jeśli krowa miała się cielić w środku zimy, nie trzeba było wylazić spod ciepłych skór co kilka godzin, by jej pilnować. Słyszac teraz nie-milknący rumor, dziewczyna żałowała, że opiekun nie zaplanował pomieszczenia dla zwierząt, kiedy budował chatę. Gdy Warnej podarował mu krowę w zamian za uratowanie jego żony od niechybnej śmierci w połogu, zielarz dobudował od strony sieni małą obórkę.

Tupanie i szarpanie nie milkło. Venda walczyła ze sobą. Wyjść czy nie wyjść? Tutaj była bezpieczna. Ale tam znajdowała się krowa. Ich jedyna krowa. Żywa. Jeszcze. Bogowie, jak ona szalała.

Dziewczyna rozpoznawała po odgłosach, że w pomieszczeniu było coś jeszcze. To coś, co tak ją przeraziło.

Wyjść czy nie wyjść?

Opanowała się trochę, a przynajmniej zaczęła sobie wmawiać, że jest opanowana.

Chwyciła kij, stojący na wszelki wypadek w kącie sieni. Jego ciężar przyjemnie dodawał otuchy. Z sercem w gardle szybkim ruchem szarpnęła drzwi. Wiedziała, że jeśli otworzy je powoli, zaskrzypią przeraż-

liwie, zwracając oczy wszystkich stworów w okolicy na biedną, wychodzącą w noc ofiarę. Nie zamknęła ich za sobą, by w razie czego szybciej się ukryć. Z kijem gotowym do uderzenia ruszyła przez oświetlone nierealnym blaskiem podwórko.

Tumult z dobudówki to cichł, to się nasilał. Krowa najwyraźniej starała się oswobodzić z związanego na rogach powroza. Sapała nerwowo w panice.

Ten drugi dźwięk, myślała Venda, najciszej jak potrafiła skradając się na odsiecz. Coś jakby... skrzydła?

Drzwi od obórki były rozwarte, ze środka wyzierały ciemność i strach. Vendę dzieliło od nich jedynie kilka kroków. Poprawiła uchwyt na drągu, przestąpiła z nogi na nogę.

Od ciemnego prostokąta drzwi oderwał się szumiący kształt, który jak strzała wypadł z obory. Wielki ptak załopotał skrzydłami tuż nad głową dziewczyny. Venda skuliła się odruchowo. Z wrażenia zabrakło jej nawet sił, by krzyknąć. Ptak rzucał się chwilę w powietrzu jak otumaniony, w końcu złapał równowagę i odleciał w stronę wsi.

Przez moment dziewczyna nie wiedziała, co się dzieje. Stała jak wryta, z kijem nad głową.

W końcu odetchnęła z ulgą.

– Sowa – mruknęła do siebie, prostując się i opuszczając ramiona.

Zerknęła w stronę obórki, myśląc o krowie.

– To sowa ją przestraszyła...

Zamarła, słysząc własne słowa. Zimny strach znów podpełzł, by opleść mackami serce, zmrozić krew.

Słowa małej Płomyk, wypowiedziane w tamtej dziwnej chwili, gdy świat stanął w miejscu, same wypłynęły jej na usta.

Nie zdążyła pomyśleć nic więcej, bo z obory dobiegło dziwne, rytmiczne szuranie, które sparaliżowało ją na ułamek sekundy.

Uciekać do chaty – odpowiedział instynkt. Ale inna część umysłu podsunęła szybko: Jeśli wejdiesz, wilk nie będzie mógł cię uratować.

Cofnęła się dwa kroki, czując się jak małe leśne zwierzątko, które wie, że nie ma szans na ucieczkę przed obserwującym go z ciemności drapieżnikiem. Ale tego, co zdarzyło się w chwilę potem, nie spodziewałaby się w najdziwniejszych snach. Szuranie zbliżyło się. W ciemnościach zamajaczyła delikatna sugestia ludzkiej postaci. Postaci coraz bardziej znajomej. W chwilę potem Venda wykrzyknęła:

– To ty?! – Opuściła drąg. – Zwariowałeś, żeby tak mnie straszyć? A w ogóle gdzie się podziewałeś przez cały dzie...?

I znowu zatrzymało ją to potworne uczucie chłodu w piersiach. Zimny strach.

Opiekun zbliżył się o dwa powolne, szurające kroki. Praktycznie ledwie wychylił się z cienia. Ale to wystarczyło, by księżycowy blask oświetlił cztery pionowe ślady szponów, ciągnące się od czoła aż po brodę, nieludzko skamieniałą twarz i poszarpane odzienie, pokryte brunatnymi plamami. Oraz pustkę w miejscu ramienia, które zostało brutalnie oderwane od korpusu.

– Ven...nda – zacharczał z wysiłkiem mężczyzna.

Dziewczyna cofnęła się, jak zahipnotyzowana wpatrując się w znajomą, ale obcą twarz, zniekształconą... śmiercią.

– Ale... jak...? – wymamrotała zszokowana.

Opiekun zatrzymał się, smętnie kołysząc w miejscu, jakby ciążyło mu ramię, którego nic nie równoważyło.

– Szyb...b...bko – zamruczał ledwie zrozumiale. Dziwny skurcz wykrzywił mu twarz, coś jakby cierpienie przemknęło i znikło. Wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny.

– Opiekunie... – wyrzuciła z siebie bez tchu. – Ty nie... ty...

Coś ukrytego za jej plecami zawarczało groźnie. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że to wilk. Kij wypadł z jej zmartwiałej dłoni. Oddech przyspieszył.

– Szyb...b...bk... – zacharczał ponownie opiekun, ślaniając się na nogach. – Bóllll...

Na moment coś strasznego zapłonęło w martwych oczach. Z pokrwawionych ust wydobył się świst. Warczenie za plecami Vendy przybrało na sile.

Opiekun skulił się w sobie, a gdy znów podniósł głowę, ból w jego spojrzeniu był jeszcze większy.

– Księg... – zamruczał prawie niedosłyszalnie.

Złapała w lot, o czym mówi.

– Nie wiem, gdzie jest – szepnęła. Po czym powtórzyła głośniejszym głosem: – Nie wiem, gdzie ją chowasz, nie pamiętasz? Musisz...

Nie skończyła.

Martwiakiem znów targnęła jakaś siła, nienaturalnie wygięła go do tyłu. W oczach ponownie pojawił się niebezpieczny błysk, z ust wydobył się pomruk. Ta część istoty, która wciąż myślała jak opiekun, próbowała powstrzymać przejmującego kontrolę potwora, łaknącego jedynie ludzkiego mięsa.

Niestety przegrała.

Niespodziewanie szybkim ruchem żywy trup rzucił się do przodu, wyciągając w stronę Vendy swą jedyną dłoń o palcach rozcapierzonych jak szpony atakującego ptaka.

Krzyknęła przerażona.

Ciemny kształt wyskoczył zza jej pleców i zderzył się z opiekunem, wepchnął go z powrotem w czern obórki. Zakotłowało się w środku.

Venda zdołała jedynie zrobić kilka kroków w tył, wielkimi oczyma wpatrując się w drzwi.

Uciekać, pomyślała.

Krowa – napłynęło natychmiast w odpowiedzi. Jej podopieczna.

Rozejrzała się po podwórku. Widły i kosa znajdowały się w oborze. Dziewczyzna dopadła wiatki na drewno. Przesunęła dłonią od wewnątrz wzdłuż załamania daszku i namacała siekierę. Jak zwykle w takich wypadkach narzędzie zaklinowało się i Venda musiała chwilę się szarpać, zanim, klnąc, udało się jej wydobyć je ze skrytki. Odwróciła się ku oborze w samą porę, by zobaczyć, jak ogromny wilk wymyka się w stronę dziury w płocie. Nie odwrócił się. Zniknął w ciemnościach, wtapiając się w las.